



Mirosław Derecki
ŚRODOWISKO LUBELSKIE (9)
ZAWÓD: DZIENNIKARZ

Cokolwiek by mówić o Jurku Dostatnim, jedno nie ulega wątpliwości: był dziennikarzem z powołania. I nawet, kiedy już na starość zmantyczał gdy stał się przesadnie drobiazgowy i był nieraz, jako sekretarz redakcji „Kameny”, trudny do wytrzymania - obstawiając często bezkrytycznie przy własnym punkcie widzenia i zacinając się we własnym uporze - nawet wtedy nie przestał nam, na swój sposób, imponować. Reprezentował typ dziennikarza „starej daty” ze wszystkimi dobrymi i złymi cechami tej profesji. Był niestrudzony w wynajdywaniu tematów, szybki w zbieraniu materiału i jeszcze szybszy w pisaniu, rzeczowy, odpowiedzialny za słowo oraz kochający... wierszówkę.

Z dawnych lat sekretarzowania w dziennikach i popołudniówkach pozostał mu nawyk codziennego przeglądania całych stert gazet i tygodników w poszukiwaniu jakiejś szczególnie atrakcyjnej „bomby”, którą można by natychmiast przykroić do potrzeb własnego pisma. Od rana rezydował za redakcyjnym biurkiem: szcuple, lekko przygarbiony, gładząc się co pewien czas po srebrzystej - á la Paderewski - czuprynie, błyskając szklami okularów, z nieodłączną szklaną cygarniczką między zębami i tkwiącą w niej połówką papierosa. Po skończeniu lektury pism krajowych Jurek zagłębiał się w płachtach „Le Monde’u”, a czytelniczą biesiadę kończył „Cinemondem” - francuskim tygodnikiem filmowym lżejszego autoramentu, pełnym kolorowych zdjęć aktorek i aktoreczek oraz panienek, które za wszelką cenę chciałyby zostać gwiazdami filmowymi.

Poza tym był nasz sekretarz redakcji przykładnym mężem, ojcem dwóch córek studiujących medycynę i farmację, zawody stateczne i zapewniające na całe życie kawałek chleba z masłem, nie to, co wieczna niepewność dziennikarskiego bytowania... Miał wreszcie Jurek Dostatni jedno nie zrealizowane nigdy marzenie: żeby młodszy koleś choć jeden raz „skoczyli” dla niego po papierosy do najbliższego kiosku. Tak jak on, w czasach dziennikarskiej młodości, zmuszony był „skakać” dla swego redakcyjnego pryncypała. Niestety, pod tym względem okazywali się, wszyscy razem i każdy z osobna, bezwzględnie nieugięci.

Przed wojną Jurek Dostatni pracował jako całkiem jeszcze młody, dziennikarz w warszawskich sensacyjnych „czerwoniakach”, wchodzących w skład koncernu „Dom Prasy” założonego przez Henryka Butkiewicza i Antoniego Lewandowskiego. Trafił tam prosto z Wyższej Szkoły Dziennikarskiej przy Uniwersytecie Warszawskim, porzuciwszy uprzednio studia polonistyczne na uniwersytecie w Poznaniu. Dlatego też później, aż do końca życia, nad sposobem patrzenia Jurka na istotę dziennikarstwa, publicystyki, reportażu - oraz w ogóle redagowania czy to gazety, czy periodyku - ciążyły pierwsze życiowe doświadczenia wyniesione z popołudniowych „rewolwerówek”. Prowadziło to nieraz w „Kamieniu” do gorących starć i nieporozumień pomiędzy sekretarzem redakcji a młodszymi pracownikami.

Od 1934 do 1939 r. Jurek tkwił jako tzw. „pistolet” w dziale miejskim najbardziej operatywnej wśród „czerwoniaków” redakcji: „Dobry Wieczór - Kurier Czerwony”. Była to gazeta bijąca na łeb wszystkie inne podobne pisma; tuż przed wojną jej nakład dochodził do stu tysięcy egzemplarzy (na owe czasy liczba zawrotna), poczytność zyskała dzięki sensacyjnym wiadomościom i ociekającym od krwi, drukowanym - słusznie! - czerwoną farbą, tytułom. Gdy po latach Jurek wpadał czasem w rzewny nastrój, wspominał prawie ze łzami w oczach, jak to raz dostał 10 złotych nagrody za wymyślony przez siebie tytuł na pierwszej stronie „Kurieria Czerwonego”: „Upiorna podróż potwornego mordercy w taksówce śmierci z trupem za plecami...”

Za pięćsetzłotową pensję, oraz przyznawane od czasu do czasu „extra” dodatki za szczególną operatywność, musiał redaktor działu miejskiego w przedwojennej popołudniówce być stale „do dyspozycji”. Nie miał „normy” wierszówkowej, tylko pensję miesięczną: musiał być wciąż aktywny, zarzucać redakcję atrakcyjnymi materiałami. Jeżeli przestawał być aktywny, rezygnowano z jego usług. Gdy do Polski przyleciał zdobywca Atlantyku - słynny amerykański pilot Lindbergh, - Jurek przebierał się za celnika, żeby docisnąć się do bohatera przed innymi dziennikarzami: dokonywał cudów pomysłowości, aby otrzymać wywiad od przybyłej do Warszawy królowej Holandii, od następcy tronu Jugosławii, od ministra spraw zagranicznych Francji... Zapisał się do Klubu Dziennikarzy Lotniczych, bo w ten sposób mógł łatwiej dotrzeć do Żwirki i Wigury, Skarżyńskiego, Orlińskiego, Burzyńskiego - asów polskiego lotnictwa. Wreszcie - o mały włos nie postradał życia, pakując się do kabiny samolotu sportowego prowadzonego przez swego kolegę po fachu - Stanisława Strumph-Wojtkiewicza.

Strumph-Wojtkiewicz, któremu nigdy nie zbywa na fantazji i pewności siebie, tak oto opisuje spotkanie z Jurkiem w swej wspomnieniowej książce pt. „O własnych siłach”:

„Że mają mnie za lotnika, ale nie bez pewnego przymrużenia oka, przekonałem się podczas odprawy poprzedzającej wielki zlot lotnictwa sportowego w Gdyni. (...) Ludzie wstawali, nazwiska padały, ten chciałby (lecieć jako obserwator – MD) z tym, a tamten z

owym, a ja siedziałem coraz bardziej smutny i osowiał. Wtem uratował mnie początkujący dziennikarz z tzw. „prasy czerwonej”, nazwiskiem, zdaje się, Dostatni. Kiedy przyszła na niego kolej, wstał, zaczerwienił się i niemal groźnie oświadczył:

- Jako przedstawiciel „Expressu” i „Kurieria Czerwonego” stanowczo proszę przydzielić mnie na samolot pilotowany przez redaktora Strumph-Wojtkiewicza. (...) To jest stanowcze żądanie całego naszego koncernu, w razie sprzeciwu zbojkotujemy imprezę. Oświadczam to w porozumieniu z wydawcami!”.

Jurek, po latach, wspominał ten incydent w sposób następujący:

„W sierpniu 1939 r. odbywał się w Gdyni zlot samolotów sportowych. Były to samoloty typu RWD i PZL. Miałem lecieć jako obserwator w RWD. Wylosowałem niezwykłego pilota - głośnego dzisiaj pisarza Strumph-Wojtkiewicza, który jako pierwszy dziennikarz przed wojną zdobył dyplom lotnika cywilnego. Mój starszy kolega znany był w naszym gronie ze swojej... nadnerwowości, czego dowodem był m.in. rozbity wcześniej samochód. Ponieważ zaś mieliśmy lecieć bez spadochronów, zastanawiałem się poważnie, czy nie zrezygnować z lotu. Ostatecznie jednak - poleciliśmy i pomijając fakt, że w Gdyni nie mogliśmy znaleźć lotniska, na które skierowały nas dopiero wykwitające przed nosem salwy (ślepe) ostrzegawcze artylerii przeciwlotniczej, wszystko odbyło się w porządku”.

I wierz tu, człowieku, dziennikarzom...!

W czasie owego lotu Strumph-Wojtkiewicz o mało nie zderzył się nad Kościerzyną z niemieckim bombowcem, który tendencyjnie naruszył polski obszar powietrzny. Nic zresztą dziwnego: miało się ku wojnie. W miesiąc później z podobnego samolotu spadły bomby na pluton jednego z Robotniczych Batalionów Obrony Warszawy maszerujący pod dowództwem Jurka Dostatniego do okopów na Żoliborzu...

Lublin poznał Jurek w latach okupacji. Przyjeżdżał tu najpierw jako „prywatny przedsiębiorca” zajmujący się handlem cukierkami, a potem jako pracownik znanego warszawskiego domu handlowego „Bracia Pakulscy”. Nigdy nie przypuszczał, że w przyszłości tutaj właśnie osiadzie na stałe, i że w Lublinie spędzi ostatnich trzydzieści lat życia. Choć urodził się nad Wartą, gimnazjum ukończył w Środzie Wielkopolskiej i był w każdym calu - z charakteru i zamiłowania do oszczędności - „Poznaniakiem”, uważał się za dziennikarza warszawskiego i z Warszawą chciał łączyć zawsze swoje losy. Ale przypadki chodzą po ludziach.

We wrześniu 1939 r. Jurek siedząc w żoliborskich okopach, znajdował czas na wydawanie powielaczowego „Biuletynu Batalionów Robotniczych Obrony Warszawy”. Po kapitulacji, w pierwszym okresie okupacji był jednym z redaktorów podziemnej „Rzeczypospolitej”. W 1944 r., w okresie Powstania Warszawskiego, po krótkim pobycie w powstańczych oddziałach bojowych, porucznik Armii Krajowej Jerzy Dostatni uruchomił

niewielką drukarnię „Lech” przy ulicy Koszykowej 33, własność Aleksandra Niedolistka. I tam, wraz z Jerzym Gembickim, Stanisławem Lipińskim i Stanisławem Garzteckim, zaczął wydawać pismo „Barykada”. Owa „Barykada” usytuowana była - nomen omen - istotnie niemal na barykadach Warszawy, jako że linia frontu przebiegała w odległości 150 metrów, a stojący tam budynek ambasady Czechosłowackiej przechodził kilkakrotnie z rąk do rąk walczących Polaków i Niemców. Wspomina drukarnię „Barykadę” oraz Jurka Dostatniego autor książki „W tajnych drukarniach Warszawy 1939-1944” Michał Wojewódzki, redaktor „Biuletynu Informacyjnego”. M.in. opisuje on następujący incydent:

„Otrzymałem rozkaz (w pierwszych dniach września 1944 - MD) objęcia drukarni przy ulicy Koszykowej 33. (...)Miałem natychmiast poczynić przygotowania do druku następnych numerów „Biuletynu Informacyjnego”. (...) Przy wstępnych pracach (...) doszło do zabawnego, ale jakże charakterystycznego incydentu, oto jeden z przedstawicieli redakcji „Barykady” zrobił mi awanturę i oświadczył, że w pierwszej kolejności i przede wszystkim musi być drukowane ich pismo, a później - jeśli czas pozwoli - będę mógł robić „moje” pismo. Próbowałem spokojnie wytłumaczyć, że przecież „Biuletyn Informacyjny” jest oficjalnym organem AK, ukazującym się bez przerwy od listopada 1939 r., i nie można sobie nawet wyobrazić, aby druk „Barykady” - pisma założonego dopiero podczas powstania - mógł przeszkodzić produkcji „Biuletynu Informacyjnego”. Przedstawiciel „Barykady” nie chciał jednak nawet słuchać. (...) W końcu, oczywiście, przedstawiciele „Barykady” zastosowali się do zaproponowanego przeze mnie harmonogramu pracy i dziwny spór został zażegnany”.

Znając charakter oraz upór Jurka Dostatniego, nie zdziwiłbym się wcale, gdyby to on był owym apodyktycznym i bezkompromisowym „przedstawicielem” redakcji „Barykady”...

Po upadku Powstania Warszawskiego porucznik Dostatni przemaszerował, jako jeniec wojenny 500 kilometrów - przez obozy przejściowe w Łambinowicach i Dobiegniewie - do oflagu w Lubece. Tam zastał go koniec wojny. Natychmiast po wyzwoleniu zajął się organizowaniem i wydawaniem powielaczowego „Biuletynu” Związku Polaków w Kolonii. Organizował także grupy Polaków powracających do kraju, i po kilku miesiącach również on sam, na pokładzie statku „Preussen”, dopłynął w ostatnich dniach grudnia 1945 r. do Gdyni. Żonę z córeczką Danusią, urodzoną, w 1944 roku, odnalazł za biurkiem sekretarza redakcji, wychodzącego w Inowrocławiu pepeesowskiego „Robotnika Kujawskiego”.

Powojenne losy Jerzego Dostatniego pokrywają się z mapą wędrówek milionów Polaków szukających swojego miejsca w nowych granicach państwa, i swojego miejsca w nowym ustroju... Po „Robotniku Kujawskim” - „Robotnik Szczeciński”. Potem - „Naprzód Dolnośląski”, „Wrocławski Kurier Ilustrowany”, gdzie był zastępcą redaktora naczelnego.

Następnie - „Gazeta Poznańska” i stanowisko sekretarza redakcji. I wreszcie: lubelski „Sztandar Ludu”.

Dostatni przyjeżdża do Lublina w 1949 r., obejmuje sekretariat redakcji, zamieszkuje na parterze willi przy ulicy Norwida pod numerem trzecim. W pokojach stoją ciężkie meble z czarnego dębu przywiezione z kolejnych mieszkań. Koniec wędrówki.

Jurek wyznawał starą, przedwojenną zasadę redaktorów prasy codziennej, że dobry dziennikarz powinien być tzw. „omnibusem”. To znaczy - musi umieć pisać szybko i na każdy temat. Niezależnie od tego, czy to będzie recenzja teatralna, felieton sportowy, czy też artykuł ekonomiczny lub społeczno-polityczny. To, co było jednak dobre w prasie codziennej, stawało się nie do przyjęcia w wyspecjalizowanej prasie periodycznej i dlatego, na przykład, w „Kamieniu”, my, młodzi pracownicy, toczyliśmy z Jurkiem nie kończącą się walkę „o pryncypia”. Górował natomiast zawsze nad nami bezdyskusyjnie znajomością warsztatu dziennikarskiego, umiejętnością przekazywania materiału w sposób skondensowany, logiczny i celny. Posiadał też umiejętność skracania artykułów. Sęk jedynie w tym, że rznął bez pardonu zarówno wszelkiego rodzaju „dłużyzny” jak również, niestety, te partie materiału, które stanowiły o literackości czy refleksyjności reportażu, artykułu lub recenzji.

Sam zajmował się w „Kamieniu” publicystyką ekonomiczną oraz budowlaną, gdzie, istotnie, liczył się konkret i tylko konkret, i zupełnie nie mógł zrozumieć „dusznych westchnień” młodych dziennikarzy. Miał też wyniesione z popołudniówek kryteria oceny jakości: „Sześć stron maszynopisu - dobry materiał; siedem stron - zły materiał”. Najwięcej cierpiał na tym kolega Romuald Wiśniewski, który nie schodził w swoich reportażach poniżej trzynastu stron, pisząc je zresztą zawsze w ostatniej chwili, na brzegu biurka, i pokrzykując: „Już kończę, panie Jerzy, już kończę przepisywać!!!”. A tymczasem Dostatni pierwsze napisane przez Romka strony ciął już niemilosiernie.

Bywał Jerzy Dostatni czasem przykry oraz przekonany zbytnio o własnej nieomyślności. Ale czy trudno mu się dziwić? W czasach powojennych bywał w niektórych redakcjach jedynym dziennikarzem z prawdziwego zdarzenia. Wśród „redaktorów” przeważali albo dziennikarze „z awansu”, albo zupełnie nieporadne żółtodzioby. To przecież nie gdzie indziej, jak właśnie w „Sztandarze Ludu” za czasów kadencji Jurka, jeden z takich dziennikarzy machnął od ręki następującą informację: „Siewy w Zamojskiem rozpoczęte. Pierwszy na pola we wsi... wyszedł małorolny aktywista Bartłomiej Krupa i własnym nasieniem (sic!) obsiał dwa i pół hektara”!

Wykończyła Jurka w 1951 r. wszechwładna wówczas Sara Nomberg-Przytyk, zastępca redaktora naczelnego „Sztandaru Ludu”. Może za to, że był oficerem Armii Krajowej. Może za to, że w każdą niedzielę, z żoną i córkami, chodził na mszę do kościoła. Może dlatego, że

miał swoje własne zdanie, którego nigdy nie chciał zmieniać. Lub z tych wszystkich powodów łącznie.

Sara potem zerwała z komunizmem i wyjechała do Izraela. Jurek pracował jeszcze przez wiele lat jako dziennikarz i został pochowany w Polsce, na lubelskim cmentarzu, i ksiądz pokropił jego trumnę...

Ale wówczas, w 1951 r. musiał odejść. Zwolniony z dnia na dzień, bez podania powodów. Dopiero w 1956 r. został w pełni zrehabilitowany, otrzymał z Zarządu Głównego RSW „Prasa” anulowanie zwolnienia, „jako niesłusznego i krzywdzącego”.

W 1959 r., po ośmiu latach przepracowanych w lubelskiej „przemysłowce” jako urzędnik, wrócił red. Jerzy Dostatni do dziennikarstwa. Rozpoczął pracę jako kierownik działu miejskiego w „Kurierze Lubelskim”. W 1966 r. objął w „Kamieniu” stanowisko sekretarza redakcji.

Umarł pięć lat temu. 25 czerwca 1978 r., wkrótce po przejściu na emeryturę.

Życie miał niełatwe. Było to życie polskiego dziennikarza wypełnione pracą, wędrówkami po kraju i po obczyźnie. A także - walką o zachowanie godności własnej i godności zawodu, który reprezentował.

Pierwodruk: „Kamena”, 1983, nr 13, s. 7.